

TOMASZ WITKOWSKI

Modne bzdury wciąż modne

W 1996 roku Alan Sokal, fizyk z Nowego Jorku, opublikował w ważnym dla nauk społecznych czasopiśmie „Social Text” artykuł pt. *Transgresja granic: ku transformatywnej hermeneutyce kwantowej grawitacji* (Sokal, 1996). W rzeczywistości artykuł okazał się żartem, parodią publikowanych tam prac. Naszpikowany bezsensownymi, lecz niestety autentycznymi, cytatami wypowiedzi znanych francuskich i amerykańskich intelektualistów na temat fizyki i matematyki demaskował nadużywanie przez nich pojęć z zakresu fizyki kwantowej i matematyki. Autor wykazał, że postmodernistyczni myśliciele tacy, jak: Lacan, Kristeva, Irigaray, Baudrillard i Deluze, wielokrotnie nadużywali tych pojęć, najczęściej ich nie rozumiejąc. Dodatkowym celem, jaki chciał osiągnąć Sokal, było ośmieszenie relatywizmu poznawczego poprzez wykazanie bezzasadności dowodów, na które powoływali się wymienieni wcześniej autorzy. Chociaż osiągnięcie tego drugiego celu bywa czasami kwestionowane (np. Tuchańska, 2006), to w powszechnej opinii żart Sokala funkcjonuje jako przykład ośmieszenia myślicieli, którzy starając się sprawiać wrażenie głębokich, mówią o rzeczach, których nawet sami nie rozumieją. Aby w pełni objaśnić swoje motywy i konsekwencje tego zdarzenia, autor prowokacji wraz z Jeanem Bricmont napisali książkę pt. *Modne bzdury*, która paragraf po paragrafie demaskuje parodię Sokala znaną w literaturze jako *Sokal's hoax* (Sokal, Bricmont, 1998).

Czy przedstawiciele nauk społecznych zarzucili praktykę wykazywania w swoich koncepcjach związków z fizyką kwantową i matematyką, których do końca nie rozumieją? Czy dziesięć lat po tych głośnych wydarzeniach związanych z żartem Sokala topologia matematyczna w wydaniu Lacana może być jeszcze poważnie traktowana? Czy psychologowie nadal wykorzystują analogie do fizyki kwantowej, aby epatować czytelników głębią swoich przemyśleń? Moje obserwacje psychologii, w szczególności zaś praktyki terapeutycznej i jej teoretycznego uzasadniania czy popularyzowania wiedzy, wskazują, że niestety, przedstawiciele naszej nauki niewiele wynieśli z lekcji Sokala. Swoją hipotezę postanowiłem sprawdzić w równie nieortodoksyjnym eksperymencie, jaki przeprowadził Sokal, chociaż moje cele były nieco odmienne.

Dlaczego wymyśliłem nową terapię?

Ludzie mający problemy z własnym życiem czy zdrowiem, często rozpaczliwie poszukują pomocy kogoś z zewnątrz – terapeuty, psychologa. Sięgnięcie po tę pomoc by

wa krokiem niełatwym. To konieczność przełamania oporów przed odkryciem się, to bolesne analizowanie własnych problemów w obecności terapeuty lub grupy, jeśli terapia jest grupowa. Zanim człowiek zdecyduje się na ten krok, nierzadko próbuje poradzić sobie na własną rękę. W obecnych czasach ilość takich możliwości wzrosła niepomieranie. W księgarniach stoją całe rzędy książek obiecujących pomoc w rozwiązaniu wszelkich kryzysów i całkowitej przemianie życiowej. Czasopisma poświęcone krzewieniu zdrowia, popularyzujące psychologię, również są źródłem informacji na temat jakości poszczególnych terapii, a jeśli uruchomimy komputer i wejdziemy do sieci, oślepi nas bogactwo ofert różnego rodzaju. Jak wybrać tę właściwą? Czy słuchając pokus brzmiających jak obietnice? Czy kierując się bardziej racjonalnymi przesłankami, takimi jak podbudowa naukowa poszczególnych systemów terapeutycznych? Gra idzie o bardzo wysoką stawkę. Zły wybór w najlepszym razie może oznaczać stratę czasu i pieniędzy. Gorszy scenariusz to pogłębienie się kryzysu, załamanie nerwowe, jeszcze większe kłopoty życiowe. Scenariusz czarny, ale ciągle prawdopodobny, to samobójstwo. Jak zatem wybrać?

W tej chwili na liście Europejskiego Towarzystwa Psychoterapii (EAP), skupiającego ponad 120 tys. terapeutów, zarejestrowanych jest 31 modalności terapeutycznych i ciągle dopisywane są nowe. Spora część z nich nie ma rzetelnych podstaw naukowych, za to w obrębie nich istnieje wiele różnych szkół. Poza oficjalną listą takich towarzystw, jak EAP na rynku usług terapeutycznych rozwija się o wiele więcej różnego rodzaju pseudoterapii. O ich szansach na przetrwanie i dopisanie do szacownych list decyduje co najmniej milcząca akceptacja świata akademickiego i zainteresowanie nimi dyplomowanych psychologów, choć wiele z nich bliższych jest szarlatanerii niż nauce. Kiedy terapia otrzyma takie wsparcie i znajdzie się w obiegu, pozostaje już tylko kwestią czasu, jak wielu zrozpaczonych pacjentów uwiedzie. Swoją terapię wymyśliłem głównie po to, aby sprawdzić, czy istnieje możliwość wprowadzenia do takiego „popularnonaukowego obiegu” kompletnej bzdury.

Dodatkowym celem, jaki chciałem osiągnąć (a wszystko wskazuje na to, że jest on realizowany) było wywołanie szerszej dyskusji nad przenikaniem pseudonauki i paranauki na wyższe uczelnie, w mury akademickie do instytucji naukowych oraz na łamy prasy i do czasopism specjalistycznych. Czas pokaże, czy owa dyskusja, poza emocjami, doprowadzi do konstruktywnych zmian w tym zakresie.

Dlaczego postanowiłem opublikować jej opis w miesięczniku „Charaktery”?

Jest to jedyne na polskim rynku czasopismo popularnonaukowe w całości poświęcone psychologii i psychoterapii. Ma też wyraźnie sprecyzowany profil. Przede wszystkim, jak możemy przeczytać w słowie od redaktora naczelnego w nr. 6 z czerwca 2002 r. „(...) pismo nasze, chociaż popularnonaukowe – popularne, ale jednak naukowe (...)”

Takich deklaracji znajdziemy więcej, a ich potwierdzeniem dla czytelnika jest redakcja, w skład której wchodzi redaktor naukowy, zasiada w niej trzech doktorów. Dodatkowym zabiegiem, który może w oczach czytelnika wzmocnić wiarygodność pisma jest umieszczenie w stopce redakcyjnej ośmiu nazwisk poprzedzonych tytułem profesor doktor habilitowany i jedno z tytułem doktorskim, które konstytuują Radę Naukową miesięcznika*. Te deklaracje i wyraźnie określony profil pisma powodują, że czytelnik może odbierać prezentowane treści jako poparte badaniami naukowymi, rzetelne i sprawdzone. Niestety, moje obserwacje zawartości pisma doprowadziły do innych wniosków. Miesięcznik, szczególnie od kilku ostatnich lat, wśród rzetelnych artykułów zamieszcza również takie treści, które pod szyldem nauki dadzą się sprzedać.

Jeszcze jednym argumentem przemawiającym za wyborem „Charakterów” jest fakt, że trafiają one do bardzo sprecyzowanej i dużej (ponad 50 tys.) grupy odbiorców. Są nimi psychologowie, wśród których wielu jest takich, dla których miesięcznik jest głównym źródłem informacji, studenci psychologii, terapeuci bez wykształcenia psychologicznego oraz bardzo wielu dawnych, obecnych oraz przyszłych klientów trafiających do terapeutów, nierzadko rezygnujących również z terapii farmakologicznych. Trudno zatem wyobrazić sobie lepszy nośnik dla terapeutycznych nowinek w Polsce niż „Charaktery”.

Krótką historia tekstu

Dla potrzeb mojego „eksperymentu” powołałem do życia fikcyjną postać – Renatę Aulagnier. Uczyniłem z niej psychologa i psychoterapeutę specjalizującego się w zastosowaniach neuronauki w terapii. Dodałem ponadto, że studiowała psychoterapię we Francji i przebywała na stypendium w Strasburgu. Stworzyłem jej konto e-mailowe w jednym z polskich darmowych serwisów. I to wszystko, żadnych dodatkowych danych. Prawdopodobnie nikt z redakcji nie zadał sobie trudu sprawdzenia w jakikolwiek sposób kwalifikacji Renaty Aulagnier, jako autora tekstu.

Wiosną 2007 r. napisałem krótki (4 strony maszynopisu), ale jak sądziłem intrygujący, tekst oparty w większości na swoich fantazjach oraz na niepotwierdzonej od blisko 30 lat koncepcji rezonansu morficznego Ruperta Sheldrake'a (1981) i wysłałem go do redakcji „Charakterów”. Przygotowując swoją mistyfikację, założyłem, że podczas pisanie artykułu będę posługiwał się wiedzą powierzchowną, znalezioną naprędce w Internecie, nieopartą na głębszej lekturze czy studiach. Kiedy nadeszła odpowiedź z redakcji, okazało się, że załączony do korespondencji tekst zawierał 12 stron maszynopisu. Dalsza korespondencja wyjaśniła, że zarówno te wymyślone, jak i pozbierane przeze mnie bzdury nie tylko spotkały się z zainteresowaniem redakcji, ale zostały przez nią mocno

* Dane z września 2007 r.

wzbogacone, a raczej uzupełnione. Zanim artykuł trafił do druku, odkryłem, że dołączony tekst jest w całości plagiatem z artykułu Anny Opali pt. *Pola morficzne według Ruperta Sheldrake* i został dołączony do mojego tekstu bez żadnych odnośników. Artykuł ten można znaleźć w kilku serwisach internetowych**. Prosiłem redakcję dwukrotnie o podpisanie artykułu również nazwiskiem redaktora, który pracował nad tekstem. Redakcja uznała, że „wzbogacenie” tekstu odbywało się w ramach obowiązków redakcyjnych i nazwisko redaktora nie powinno się znaleźć pod tekstem. Nie nalegałem dłużej, gdyż uznałem, że podejmując działanie, które można nazwać prowokacją dziennikarską, lub nawet obserwacją uczestniczącą, nie wolno nadmiernie ingerować w obserwowane zjawisko. Mimo wielu zastrzeżeń, jakie można mieć do metody, którą wybrałem, rządzi się ona również pewną dyscypliną metodologiczną i tylko krok dzieli prowokację od manipulacji. Wysłanie sfalszowanego tekstu i oczekiwanie na reakcję redakcji jest prowokacją, ale np. wykorzystanie znajomości i wywieranie osobistego wpływu na redakcję, aby go opublikowała, wykracza poza granice tej metody. Podobnie, doprowadzenie do podpisania mojego artykułu nazwiskiem redaktora mogłoby zostać uznane za przekroczenie tej granicy, a efekt, który uzyskałem, nie być reprezentatywnym dla badanej rzeczywistości, gdyż redaktor odpowiadałby wówczas również za nieprawdziwe treści, które wymyśliłem ja sam. Analizując aspekty etyczne tej metody, należy mieć na uwadze podstawowy cel autora, jakim jest ujawnienie wszystkich fałszywych informacji, rzeczywistego autorstwa tekstów itd. To odróżnia ją od przestępstwa, w tym również plagiatu, gdzie sprawca podejmuje jakieś działania, mając na celu określone korzyści własne.

Po kilku kolejnych zmianach edytorskich mistyfikacja została opublikowana w październikowym numerze „Charakterów” pod tytułem *Wiedza prosto z pola*. Ostateczny tekst artykułu zawierał nieco mniej niż połowę plagiatu dodanego przez redakcję.

Zawartość tekstu

W charakterze teorii, na której budowałem swoją mistyfikację, wykorzystałem koncepcję pól morfogenetycznych, rezonansu morficznego i przyczynowości formatywnej. Oto krótki fragment z opublikowanego tekstu, dający wyobrażenie o teorii: „Zgodnie z koncepcją Sheldrake’a pole morfogenetyczne jest to wypełniające przestrzeń pole o bliżej niesprecyzowanej naturze fizycznej, które obok czynnika genetycznego, DNA, nadaje określoną formę organizmom żywym. Ma ono też silny wpływ na zachowanie organizmów żywych i ich interakcje z innymi organizmami. Z polem morfogenetycznym wiąże się też pojęcie »formatywnej przyczynowości«. Jest to, wg Sheldrake’a zdolność każdego organizmu do przekazywania pamięci o często powtarzających się zdarzeniach

** Np.: <http://www.ustawieniarodzin.pl/www/dokument.php?id=2,14,37>
lub <http://www.nlp.warszawa.pl/polamorficzne.htm>

poprzez zapisywanie ich w polu morfogenetycznym, a następnie przekazywanie tej informacji potomkom i innym organizmom żywym poprzez aktywny kontakt z ich polami tego rodzaju. Przekazywanie to odbywa się w oparciu o zjawisko rezonansu morficznego. Zjawisko to polega na tym, że jeśli jakaś krytyczna liczba osobników określonego gatunku nauczy się jakiegoś zachowania lub uzyska określone cechy organizmu, to automatycznie – dzięki rezonansowi morficznemu – są one dużo szybciej nabywane przez pozostałych osobników tegoż gatunku. Szybkość przyswajania w takich przypadkach trudno wyjaśnić naturalnymi procesami uczenia się. Co ciekawe, badania potwierdzają, że im większe zagęszczenie osobników danego gatunku, a co za tym idzie pól morfogenetycznych, tym intensywniejszy rezonans morficzny” (Aulagnier, 2007).

Za wyborem koncepcji Sheldrake’a przemawiało kilka powodów. Po pierwsze, istotny był fakt, że funkcjonuje ona w niektórych psychoterapiach jako model wyjaśniania zachodzących zmian (np. ustawienia Berta Hellingera) i ma się tam dobrze. Po drugie, jest koncepcją pseudonaukową egzystującą niemal wyłącznie na obrzeżach nauki, lub poza nimi. Jeśli wpiszę hasło „pola morfogenetyczne” w dowolnej wyszukiwarce internetowej, otrzymamy dużą ilość wyników. Przytłaczająca większość z nich występuje na stronach dotyczących zjawisk paranormalnych lub powiązana jest z dziwnymi, funkcjonującymi poza naukowym obiegiem, terapiami. Już zasięgnięcie informacji w *Wikipedii* daje pogląd na temat koncepcji: „Biolodzy z głównego nurtu badań naukowych odrzucają istnienie pól morfogenetycznych jako sprzeczne z aktualnie panującym w biologii paradygmatem i niepotwierdzone eksperymentalnie. Fizycy także nie traktują tej koncepcji poważnie. Hipotezę istnienia tego pola biorą natomiast pod uwagę niektóre szkoły psychoanalizy, które traktują ją jako swoistą kontynuację idei nieświadomości zbiorowej Junga. Pole to cieszy się też pewną popularnością wśród autorów literatury fantastycznej”. (Źródło: http://pl.wikipedia.org/wiki/Pole_morfogenetyczne). Badania nie potwierdziły ani istnienia pól morfogenetycznych, ani rezonansu morficznego. W bazie naukowej EBSCO, zawierającej większość liczących się prac z zakresu nauk społecznych, medycznych i pedagogicznych, wyszukiwanie pojęć *formative causation*, *morphic fields*, *morphogenetic fields* dało rezultat zaledwie 10 publikacji dla wszystkich trzech pojęć. Dla porównania, hasło *cognitive therapy* daje 7244 pozycji, a *behavioral therapy* – 2719 publikacji!

Trzecim powodem, uzasadniającym wybór tej akurat koncepcji był fakt, że wyjaśniając pojęcie pola morfogenetycznego, w nieuprawniony sposób powołuję się na analogię do pola kwantowego, co poza realizacją moich celów mogłoby dodatkowo pomóc w sprawdzeniu, czy lekcja udzielona przez Sokala na coś się zdała. Trudno zatem wyobrazić sobie „lepszą” (bardziej złą) teorię, z punktu widzenia przygotowania mistyfikacji.

W tekście zamieściłem następujący fragment: „Bardzo duży wkład dla zaistnienia koncepcji w psychoterapii miał również wybitny francuski psychoanalityk – Jacques

Lacan. To on, jako pierwszy, odkrył możliwość zastosowania topologii matematycznej w analizie struktur chorób umysłowych. Można śmiało założyć, że nie mając pojęcia o znanych nam dzisiaj metodach obrazowania pracy mózgu, stworzył matematyczne podstawy dla analizy chorób umysłowych opartych o te metody” (Aulagnier, 2007).

Oczywiście Jacques Lacan nie stworzył żadnych matematycznych podstaw analizy chorób umysłowych (a przynajmniej takich, które ktoś poza nim samym byłby w stanie stosować), a tym bardziej opartych na obrazowaniu pracy mózgu. Nie miał nawet nic wspólnego z koncepcją pól morfogenetycznych. Był to celowo pozostawiony w tekście ślad, podjęcie którego mogłoby doprowadzić do odkrycia mistyfikacji. Nawiązanie do żartu Sokala nie zostało jednak dostrzeżone.

Samą ideę wymyślonej przeze mnie terapii oddaje krótki fragment tekstu: „Pacjent leży na czymś, co można by uznać za kozetkę XXI wieku, ale zamiast psychoanalityka siedzącego za wezłowiem, widzimy człowieka w białym fartuchu, wpatrującego się intensywnie w ekran komputera połączonego z potężnym tomografem. We wnętrzu maszyny znajduje się głowa pacjenta. Właśnie odbywa się mapowanie aktywności mózgu w czasie rzeczywistym przy pomocy fMRI – funkcjonalnego rezonansu magnetycznego. To pierwszy krok w terapii – terapii przyszłości. Ma on na celu postawienie diagnozy dotyczącej zaburzeń pola morfogenetycznego. Dzięki temu możliwe będzie określenie, jakich środków terapeutycznych użyć, aby wywołać pożądaną rezonans morficzny. Do wyboru terapeuty będzie miał na przykład muzykę – może zalecić pacjentowi, ile, jakiej i w jakich proporcjach ma jej słuchać. Może też zalecić podopiecznemu przebywanie w zagęszczonych, ale precyzyjnie określonych środowiskach społecznych, np. wśród publiczności teatralnej lub wśród kibiców na stadionie piłkarskim. Na zakończenie terapii procedura pomiaru zostanie powtórzona. Jeśli terapeuta uzna, że nieprawidłowości pola zostały ustabilizowane, uzna ją za zakończoną. Jeśli mimo wszystko, w polu pacjenta brakuje stabilności, może wspomóc się dodatkowymi metodami diagnozy, np. pozytronową emisyjną tomografią komputerową. I na jej podstawie ukierunkować dalsze leczenie” (Aulagnier, 2007).

Tekst zawierał bardziej szczegółowy opis terapii, sposoby pomiaru pól morfogenetycznych, odwoływał się do przykładów ze świata zwierząt, pokazywał, jakie zastosowania mają pola morfogenetyczne w nauce języków, jakie są związki pola morfogenetycznego z fizyką kwantową itp.

Sokal's hoax a Renata Aulagnier

Już tego samego dnia, w którym zdemaskowałem swoją mistyfikację, pojawiły się oceny i porównania do prowokacji przeprowadzonej przez Sokala, dlatego kilka zdań chciałbym poświęcić na wyjaśnienie różnic w celach, jakie sobie założyłem, przygotowując swoje przedsięwzięcie. Nie mam wystarczającej wiedzy, aby demaskować poważne

nadużycia fizyki kwantowej czy matematyki wyższej. Ponadto, nie uważam, aby miało sens powtarzanie tego, co zrobił Sokal. Moim zdaniem wykazał on wystarczająco jednoznacznie to, co zamierzał, chociaż całkiem zasadne głosy podnoszą sprzeciw przeciwko stwierdzeniu o realizacji drugiego celu Sokala, a mianowicie podważeniu relatywizmu poznawczego (Tuchańska, 2006). Moje nawiązanie do fizyki kwantowej i topologii matematycznej miało wyłącznie charakter symboliczny i było należnym Sokalowi ukłonem.

Wielu krytyków zarzuca mi wybór pisma popularnonaukowego, sugerując, że wprowadzenie w błąd redakcji czasopisma naukowego byłoby dużo trudniejsze. Wyboru dokonałem świadomie i zgadzam się z drugą częścią tego stwierdzenia. Chciałbym jednak zwrócić uwagę, że pseudonauka czy paranauka w psychologii najczęściej nie rozprzestrzenia się poprzez czasopisma naukowe, podobnie jak wszelkiego rodzaju pseudoterapie i inne rodzaje szarlatanerii. Swoją żywot zaczynają one od książek, poradników, czasopism popularnych czy popularnonaukowych. Ich strategia najczęściej polega na imitacji nauki lub funkcjonowania na obrzeżu głównego nurtu naukowego, gdzie jeszcze działa magia tytułów naukowych, i widać blask bijący od instytucji naukowych. Ukazanie się drukiem mojego artykułu w powszechnie czytany czasopiśmie z dobrym naukowym szyldem, przyjęcie do druku drugiego artykułu (jeszcze zanim ukazała się drukiem *Wiedza prosto z pola*, redakcja wstępnie zaakceptowała do druku kolejny tekst oparty o tę samą koncepcję teoretyczną) sugerują, że mógłbym bez przeszkód rozpowszechniać tę wiedzę, a następnie zamieścić w tym samym piśmie ogłoszenia i pewnie również prowadzić pseudoterapię, co jednak wykraczałoby już zbyt daleko poza prowokację intelektualną. Chyba żadne czasopismo naukowe takich możliwości nie stwarza. Od lat systematyczne publikowanie przez czasopisma naukowe doniesień o skuteczności terapii poznawczej wcale nie skutkuje gwałtownym wzrostem osób zajmujących się tą terapią. Wprowadzenie w błąd redakcji pisma naukowego mogłoby realizować takie cele, jakie przyjął Sokal lub podobne jemu.

Będąc bardziej pisarzem popularyzującym naukę niż czynnym badaczem, zależało mi też na uświadomieniu problemu szerszej grupie ludzi niż tylko naukowcy. W tej grupie powinni się znaleźć studenci, obecni i potencjalni odbiorcy usług psychologicznych sprzedawanych na wolnym rynku. Myślę, że moja mistyfikacja i jej demaskacja były na tyle proste i czytelne, że miały szanse dotrzeć do takiego odbiorcy. Alan Sokal, aby wyjaśnić (i to tylko niezłe wykształconym czytelnikom) w pełni sens tego, co zrobił, napisał na temat swojego żartu całą książkę.

Wnioski

Nie chciałbym, aby wniosek, jaki płynie z opublikowania tekstu, ograniczał się do stwierdzenia, iż „każdego można oszukać”. Choć komplementy mówiące, że w sposób niezwykle wyrafinowany przygotowałem swoją mistyfikację, brzmią ponętnie, to niestety

też muszę się ich wyrzec. Jak pokazałem wyżej, tekst nie był wyrafinowany, zawierał wyraźne tropy umożliwiające jego demaskację, a ja sam posłużyłem się powierzchowną wiedzą. Bliższy prawdzie byłby więc wniosek, iż „niezwykle łatwo jest oszukać redakcję popularnonaukowego pisma”. Ale i ten wniosek nie zawiera wszystkiego, co pokazała moja mistyfikacja. Redakcja „Charakterów” wzięła czynny udział w oszukiwaniu samej siebie i swoich czytelników, a tego już nie można przypisywać ani do sytuacji sprzyjającej powstaniu możliwości bycia oszukanym, ani do inteligencji, sprytu, przebiegłości i niecności autora mistyfikacji.

Błędem byłoby również uogólnienie mówiące o tym, że redakcja „Charakterów” oszukuje swoich czytelników, zamieszczając bzdurne teksty i plagiaty. Moja mistyfikacja nie daje do tego podstaw, ponadto znam wiele bardzo wartościowych tekstów zamieszczanych w tym miesięczniku, których rzetelności gotów jestem bronić. Bardziej prawidłowym jest wniosek mówiący o tym, że bardzo łatwo jest wprowadzić pseudonaukową koncepcję do popularnonaukowego obiegu, a redakcja chętnie w tym pomoże. Gdyby zamiast autora, który w swoim zamyśle, od samego początku miał zamiar ujawnić mistyfikację, występował oszust lub nawet pseudonaukowiec przekonany o swoich racjach, niestety droga do czytelników stałaby przed nim otworem.

Dość smutną jest konstatacja, iż lekcja udzielona 10 lat temu przez Alana Sokala przedstawicielom nauk społecznych, a redakcjom czasopism w szczególności, nie została niestety przez nich odrobiona. Nadal część z nich woli „utwardzać” swoją dziedzinę pozornymi analogiami do nauk ścisłych niż wykorzystywać własną zaawansowaną metodologię.

Moja mistyfikacja, budząc wiele emocji, ujawniła też szereg pytań natury ogólniejszej odnoszących się do nauki, jej popularyzacji i odpowiedzialności za działalność praktyczną psychologów. Ich lista jest zbyt długa, aby wymienić je wszystkie. Część z nich warto jednak postawić. A zatem, czy przedstawiciele psychologii naukowej są odpowiedzialni za poziom popularyzowania swojej dziedziny i popularyzowane treści? Jaka jest różnica pomiędzy tolerancją redaktorów, terapeutów, badaczy dla różnych sposobów uprawiania nauki i terapii a obojętnością w stosunku do nadużyć, jakie w tej sferze mają miejsce? Czy jako psychologowie powinniśmy rynek usług szkoleniowych, nazywany czasami psychobiznesem, pozostawić prawom wolnego rynku? Wreszcie, czy to, co odkryła moja mistyfikacja, jest nagłaśnianiem i przerysowywaniem marginalnego problemu, czy tylko wskazaniem czubka góry lodowej, której ogrom jest dla naszych oczu niewidoczny?

Literatura

Aulagnier, R., *Wiedza prosto z pola*. „Charaktery” 10, 2007.

Sheldrake, R., *A new science of life*. „New Science”, 90, 1981, s. 766-768.

- Sokal, A., Bricmont, J., *Modne bzdury. O nadużywaniu pojęć z zakresu nauk ścisłych przez postmodernistycznych intelektualistów*. Prószyński i S-ka, Warszawa 1998.
- Sokal, A., *Transgressing the boundaries: Toward a transformative hermeneutics of quantum gravity*. „Social Text” 46/47, 1996, s. 217-252.
- Tuchańska, B., *O Sokalu z Bricmontem, Latourze i o tym, co z tego (nie) wynika*. „Nauka”, 1, 2006, s. 93-111.

Fashionable nonsense still in fashion

The article is an account of a hoax by the author, which led to publishing a paper introducing a new, non-existent therapy in a popular science monthly, *Charaktery*. The hoax, partly based on a similar provocation by Alan Sokal in 1996, was designed to examine the possibility of introducing a scientifically untested conception into popular science. Another goal was to provoke a public discussion about the phenomenon of pseudoscience penetrating science. The article recounts the history of the publication and briefly presents the content of the paper; it also shows the basic differences between Sokal's hoax and the author's sham. The paper ends with conclusions and questions raised by the experiment.

Key words: popular science, pseudoscience, psychotherapy, Sokal's hoax

